

Ks. Richard J. NEUHAUS

## O NIEDOPUSZCZALNOŚCI ROZDZIELANIA POLITYKI I ROZUMU MORALNEGO

*Wielkim problemem jest dzisiaj nie zagrożenie życia publicznego przez religię, lecz zagrożenie, które uważający się za wcielenie życia publicznego rząd stanowi dla religii. Cały porządek wolności, włączając w to wszystkie inne wolności wymienione w Karcie Praw, jest oparty na tym, co Madison nazywa pierwszym obowiązkiem, którym jest religia.*

Chętnie przyznaję, że moja refleksja nad polityką i rozumem moralnym, włączając w to prawa człowieka i prawo naturalne, jest specyficznie amerykańska, ufam jednak, że będzie pomocna w zrozumieniu podobnych problemów w innych krajach, również w Polsce. „Model amerykański” – czy tego chcemy, czy nie – ma wpływ na cały świat, a moje doświadczenie z ostatnich lat, zwłaszcza z seminarium organizowanego przez Instytut „Tertio Millennio” w Krakowie, przekonuje mnie, że Polska jest jednym z najbardziej obiecujących krajów, jeśli chodzi o zdolność odróżniania tych elementów modelu amerykańskiego, które warto przyjąć, i tych, których należy unikać.

Deklaracja Niepodległości z 1776 roku mówi otwarcie o zakorzenieniu praw człowieka w prawie naturalnym. Ojcowie Założyciele z przekonaniem mówili o „prawach natury i Bogu natury” opartych na uniwersalnych założeniach, które są przynajmniej tak samo chrześcijańskie (głównie kalwińskie), co Locke’owskie. Jednak z różnych złożonych powodów po drugiej wojnie światowej intelektualna opinia w Ameryce wszelkie odwołanie się do prawa naturalnego uważała coraz częściej za „religijne” w sensie, który czyni je niedopuszczalnym w dyskursie politycznym. Ma to ścisły związek z ideą „rozdzielenia Kościoła i państwa”, która – chociaż nieobecna w Konstytucji Stanów Zjednoczonych – jest dominująca w większej części naszego życia publicznego. Idea ta opiera się z kolei na interpretacji pierwszej klauzuli, tak zwanej klauzuli religijnej, z Pierwszej poprawki do konstytucji przyjętej w 1791 roku: „Kongres nie będzie stanowił prawa dotyczącego ustanawiania religii lub zabrania jej wolnego wyznawania”. Tych kilkunastu słów dotyczy wiele, jeśli nie większość, politycznych i kulturowych batalii w dzisiejszej Ameryce.

Tomasz Jefferson pragnął, aby zapamiętano go nie tyle jako prezydenta, ile jako autora „Ustawy o wolności religijnej” z Wirginii. W tekście ustawy Jefferson podkreślił następujące zdanie: „Ludzkie poglądy nie są sprawą rządu ani nie podpadają pod jego jurysdykcję”. W republice wolnych obywateli każdy

pogląd, każdy przesąd, każda aspiracja, każdy sąd moralny ma dostęp do sfery publicznej, w której zastanawiamy się nad uporządkowaniem naszego wspólnego życia.

„Ludzkie poglądy nie są sprawą rządu ani nie podpadają pod jego jurysdykcję”. Jednakże rząd czerpie swoją prawomocność z opinii obywateli. Tutaj właśnie widzimy nowość amerykańskiego eksperymentu, wyjątkowość tego, co Ojcowie Założyciele nazwali „novus ordo seclorum”. Nigdy dotąd w ludzkich dziejach rząd nie pozbawił się jurysdykcji nad tym, od czego całkowicie zależy – od ludzkich opinii.

Podkreślił to mocno Abraham Lincoln w swojej polemice z sędzią Douglassem na temat niewolnictwa. Douglas uparcie trzymał się rozstrzygnięcia Dreda Scotta jako prawa obowiązującego w kraju. Natomiast Lincoln lepiej rozumiał projekt, który legł u podstaw tej republiki. „W tym czasie, w tym kraju – mówił Lincoln – powszechne odczucie jest wszystkim. Z n i m wszystko może się udać, p r z e c i w n i e m u nic się nie powiedzie. Ten, kto kształtuje powszechne odczucie, sięga głębiej niż ten, kto wprowadza prawa czy wydaje wyroki sądowe. Sprawia on bowiem, że możliwe staje się ich wykonanie”. Broniąc praw pochodzących z Afryki niewolników Lincoln odwoływał się do prawa naturalnego, przywołując stwierdzenie Deklaracji Niepodległości o „prawach natury i Bogu natury”.

Kwestia dostępu religii do sfery publicznej nie jest kwestią, której dotyczy Pierwsza poprawka. Jest to przede wszystkim kwestia rozumienia teorii i praktyki rządów demokratycznych. Podmiotami poglądów są obywatele, włączając w to poglądy wypływające z wiary religijnej, a obywatele mają taki sam dostęp do sfery publicznej. W demokracji reprezentatywnej państwo nie ma prawa stanowienia, jakie przekonania i sądy moralne wolno przedstawiać w publicznej debacie. To ludzie, poprzez określony konstytucyjnie proces, prowadzą tę debatę i podejmują decyzje.

W wolnej i zdrowej demokracji określony pogląd nie jest dyskwalifikowany ze względu na to, że jest religijny, podobnie jak nie jest dyskwalifikowany z racji tego, że jest ateistyczny, psychoanalityczny czy po prostu głupi. Nie istnieje prawna czy konstytucyjna kwestia dotycząca dopuszczenia religii do sfery publicznej; istnieje tylko kwestia wolnego i równego uczestnictwa obywateli w naszym życiu publicznym. Religia nie jest jakąś „rzeczą”, która ingeruje w nasze życie publiczne. Religia w sferze publicznej jest publiczną opinią tych obywateli, którzy są religijni.

To samo dotyczy stowarzyszeń, które obywatele tworzą w celu propagowania swych opinii. Instytucje religijne mogą pojmować siebie jako ustanowione przez Boga, ale z punktu widzenia wolnego społeczeństwa są one wolnymi stowarzyszeniami obywateli. Jako takie mają one zagwarantowany dostęp do sfery publicznej, tak jak tworzący je obywatele. To, że ich celem jest propagowanie religii, nie ma znaczenia większego niż to, że celem innych

stowarzyszeń jest na przykład obrona interesów przedsiębiorców lub pracowników, interesów feministek, praw zwierząt.

Z punktu widzenia teorii i praktyki demokratycznej nie ma znaczenia, czy owe stowarzyszenia religijne są wielkie czy małe, czy odzwierciedlają poglądy większości czy mniejszości, czy uważamy ich poglądy za dziwaczne czy za oświecone. To, poprzez jakie poglądy stowarzyszenia te pragną wpłynąć na nasze życie publiczne, jest całkowicie sprawą obywateli, którzy w sposób wolny tworzą te stowarzyszenia. Nie jest to sprawą państwa. Stowarzyszenia religijne, podobnie jak inne stowarzyszenia, są wspólnym sposobem wyrażania ludzkich poglądów, a jak powiedział Jefferson, „ludzkie poglądy nie są sprawą rządu ani nie podpadają pod jego jurysdykcję”. Wykluczenie religii ze sfery publicznej jest oczywiście szczególnie zgubne w tych przypadkach, gdzie – jak to jest z prawem naturalnym – religia daje podstawę autentycznie wspólnego języka, który obejmuje wszystkich i nie jest oparty na specyficznych artykułach wiary religijnej.

Można się obawiać, że ci, którzy interpretują „rozdział Kościoła i państwa” jako wykluczenie religii ze sfery publicznej, nie rozumieją teorii i praktyki rządów demokratycznych. Rząd cywilny jest tak świecki, jak ludzie, od których pochodzi jego demokratyczna legitymacja. Ani mniej, ani więcej. Można nawet dowodzić – i to, jak sądzę, przekonująco – że sama zasada, która wyłącza ludzkie poglądy spod jurysdykcji państwa, jest religijna zarówno co do swego historycznego pochodzenia, jak i swego obecnego działania. Innymi słowy, podstawa wolności religijnej sama jest religijna. Prawo zaś do wolności religijnej jest – jak to nieustannie podkreśla katolicka nauka społeczna, zwłaszcza w okresie pontyfikatu Jana Pawła II – podstawą wszystkich innych praw człowieka.

„Uznajemy te prawdy” – stwierdzili Ojcowie Założyciele. I jeśli te prawdy o „niezbywalnych prawach”, którymi ludzi „obdarzył ich Stwórca”, nie będą mocno podtrzymywane przez naród amerykański i otwarcie wyznawane w sferze publicznej, eksperyment nie dotrwa do końca. W takim nieszczęśliwym przypadku okaże się, że nie był on „novus ordo seclorum”, lecz tymczasowym zawieszeniem ludzkiej skłonności do tyranii. Tymczasem w drugim stuleciu tego eksperymentu zsekularyzowane elity na naszych uniwersytetach i w naszych sądach zaczęły odczuwać zakłopotanie z racji nieodwracalnie religijnej natury fundamentu i losu tego narodu.

Te zsekularyzowane elity zaangażowały swą energię w udowodnienie, że i dlatego Ojcowie Założyciele nie uznawali tych prawd, o których stwierdzili, iż je uznają. Podjęły one próbę ogołocenia sfery publicznej z tych poglądów religijnych, które nie zgadzają się z ich poglądami. Usilnie pracowały nad położeniem innego fundamentu niż ten, który położono na początku. John Dewey, John Rawls, Richard Rorty i wielu ich pomniejszych naśladowców podjęli próbę skonstruowania filozoficznego fundamentu tego eksperymentu wolności, ale musieli uznać, że ich wysiłki zostały odrzucone przez ludzi, którzy upar-

cie trwają przy stwierdzeniu Ojców Założycieli: „Uznajemy te prawdy”. Teoria demokracji, której ani nie rozumie, ani nie przyjmuje demokracja, w ramach której teoria ta powstała, jest teorią poronioną. Dzisiaj, podobnie jak dwieście lat temu udzielający demokratycznej legitymacji Amerykanie, są nadal niepoprawnie religijni.

A jednak istnieją ludzie, którzy utrzymują, że „oddzielenie Kościoła od państwa” oznacza oddzielenie religii od sfery publicznej. Biją na alarm z powodu nie istniejących „konfliktów między państwem i Kościołem”. Oczywiście istnieją konflikty, ale są to konflikty zdrowej republiki, w której wolni obywatele spierają się w sferze publicznej. Skrajni separacjoniści tolerują, a nawet usilnie bronią prawa wyrażania marginalnych poglądów religijnych, które nie mają możliwości wpływu na nasze wspólne życie. Biją jednak na alarm z powodu głosu większości, w którym słyszą głos ludu. Trudno nie stwierdzić, że to, czego się boją, to ludzie i demokracja.

Jefferson nie powiedział, że rząd nie posiada jurysdykcji nad poglądami z w y j ą t k i e m poglądów religijnych. Nie powiedział, że rząd nie posiada jurysdykcji nad poglądami z w y j ą t k i e m przypadku, gdy wyrażane są one przez stowarzyszenia nazywane kościołami czy synagogami. Nie powiedział, że rząd nie posiada jurysdykcji nad poglądami z w y j ą t k i e m przypadku, gdy są to poglądy większości. Powiedział: „Ludzkie poglądy nie są sprawą rządu ani nie podpadają pod jego jurysdykcję”.

Wielu obawia się niebezpieczeństwa dyktatury większości – i słusznie. Obawiali się go również Ojcowie Założyciele i dlatego stworzyli porządek konstytucyjny gwarantujący r e p r e z e n t a c y j n y rząd oraz ochronę poglądów i sposobu życia mniejszości. Jeśli jednak większość nie przyjmuje tego konstytucyjnego porządku, to środki te są – mówiąc słowami Jamesa Madisona – „papierową barierą” wobec tyranii. Jak zauważył Lincoln, bez poparcia powszechnego odczucia prawa i decyzje sądu – również te, które mają bronić ludzi nie zgadzających się z powszechnym odczuciem – nie mogą być egzekwowane.

Obecnie mniejszości poszukują obrony w konstytucji w sposób, który przeciwstawia konstytucję obywatelom Ameryki. Często mówi się, że celem konstytucji jest obrona mniejszości przed większością. Wyraża to ważną prawdę, ale twierdzenie, że jest to adekwatne rozumienie konstytucji, jest potencjalnie fatalną pomyłką. Nie powinniśmy nigdy zapominać preambuły i niezastępowalnego założenia konstytucji: „My Naród [...] ustanawiamy tę Konstytucję dla Stanów Zjednoczonych Ameryki”. Oznacza to, że konstytucja i wszelkie jej postanowienia opierają się na odczuciu „narodu”. Zasada większości nie jest z pewnością jedyną zasadą rządu demokratycznego; nie jest ona zasadą wystarczającą, ale jest zasadą konieczną. W konstytucji większość sama nakłada na siebie ograniczenie: obiecuje nie czynić tego, co mogłaby czynić, to jest uciskać mniejszość.

Możemy zapytać: dlaczego większość nakłada na siebie takie ograniczenie? Możliwe są tu różne odpowiedzi. Jednym z powodów jest to, że większość Amerykanów, nawet jeśli tylko niejasno, uznaje suwerenność wyższą niż suwerenność owego „My Naród”. Wierzą oni, że istnieje prawda absolutna, ale nie są pewni, czy rozumieją ją absolutnie, dlatego nie są skłonni do narzucania jej innym. Zakaz wywierania przemocy w sprawach sumienia nie jest zakazem przede wszystkim świeckim, lecz religijnym. Na przykład nie zabijamy innych z powodu ich innego zdania co do woli Bożej, ponieważ wierzymy, że jest wola Bożą, abyśmy się nie zabijali z powodu różnicy zdań co do tej sprawy. Chrześcijanie i żydzi nie zawsze w to wierzyli, ale z bardzo nielicznymi wyjątkami większość Amerykanów doszła do uznania tej prawdy.

Ochrona myślących inaczej jest również w interesie wszystkich. W najbardziej kontrowersyjnych sprawach naszego życia publicznego nie istnieje stabilna większość, a tylko zmieniające się zbieżności i rozbieżności opinii. Niechrześcijanie, a zwłaszcza żydzi, wyrażają niekiedy obawę z tego powodu, że prawie dziewięćdziesiąt procent Amerykanów przyznaje się do chrześcijaństwa. Jednakże w rzeczywistości, gdy w grę wchodzi właściwy sposób rządzenia, to owa większość jest podzielona w bardzo wielu sprawach. Ponadto ogromna liczba chrześcijan, być może prawie wszyscy, posiada religijnie uzasadnione przekonanie o szacunku, jaki jest należny judaizmowi. Chrześcijanie twierdzący, że „chrześcijańska Ameryka” powinna zostać przebudowana według objawionego projektu rządów cywilnych, są nieliczni i prawdopodobnie pozostaną zawsze na marginesie.

Ks. John Courtney Murray, który wpłynął na rozumienie tych spraw, zauważył, że chociaż w teorii polityka winna być zgodna z prawdą objawioną, to „wydaje się, że pluralizm jest wpisany w scenariusz historii”. Niektórzy z nas poszliby dalej, sugerując, że autorem tego scenariusza jest sam Bóg. Pluralizm jest naszą trwałą kondycją i imperatywem moralnym aż do końca czasów, gdy nasze różnice zdań zostaną rozstrzygnięte wraz z nadejściem obiecanego królestwa Bożego. Obrona przed dyktaturą większości opiera się zatem na takim porządku konstytucyjnym. Natomiast ten porządek konstytucyjny opiera się z kolei na nie ustającej jego ratyfikacji przez większość tych, którzy mówią „My Naród”. Pośród prawd, które oni uznają, znajduje się prawda, że należy chronić tych, którzy prawd tych nie uznają. Chociaż mówi się, że błąd nie ma praw, to ci, którzy go popełniają, mają prawa. Paradoksalnie ich praw najmocniej bronią ci, w których widzą oni często swych wrogów – chrześcijanie, którzy na podstawie prawa naturalnego i Objawienia bronią uniwersalności praw człowieka.

Ta amerykańska sytuacja jest godna uwagi. Jest ona szczególnie krucha. Możemy chcieć, aby Lincoln mylił się, mówiąc, że „w tym czasie, w tym kraju powszechne odczucie jest wszystkim”. Ale Lincoln miał rację, a w konflikcie dotyczącym niewolnictwa doświadczał, jak powszechne odczucie zwróciło się przeciw porządkowi konstytucyjnemu i o mało nie doprowadziło go do nie-

odwracalnego zniszczenia. Ulegamy niebezpiecznemu złudzeniu, jeśli sądzimy, że uwaga Lincolna o naszej całkowitej zależności od powszechnego odczucia jest dzisiaj chociaż trochę mniej prawdziwa.

Naszym problemem nie jest zatem kwestia dostępu religii do sfery publicznej. Chodzi raczej o pełne i niczym nie skrępowane uczestnictwo w niej mężczyzn i kobiet, obywateli, którzy do debaty nad porządkiem naszego wspólnego życia w eksperymencie aspirującym do bycia reprezentacyjną demokracją, wnoszą swoje poglądy, odczucia, przekonania, wizje i wspólne tradycje sądów moralnych. Oczywiście aspiracja ta realizowana jest zawsze w sposób niedoskonały.

Naszym problemem nie jest przede wszystkim kwestia Pierwszej poprawki. Jest nim natomiast zrozumienie źródeł, podstawowych prawd i trwałych fundamentów amerykańskiej republiki. Dopiero w tym kontekście istotna staje się także kwestia Pierwszej poprawki i gwarantowanej przez nią wolności.

Trzeba przede wszystkim powiedzieć, że wolność ta jest celem i jedynym uzasadnieniem tego, co Pierwsza poprawka mówi o religii. Oznacza to, że nie istnieje konflikt, napięcie czy potrzeba „wprowadzania równowagi” między wolnym wyznawaniem religii i nieustanawianiem jej przez rząd. Nie ma dwu klauzul religijnych, jest tylko jedna. Twierdzi się w niej, że „Kongres nie ustanowi prawa”, a reszta klauzuli składa się z wyjaśnienia, jakiego rodzaju prawa Kongres nie będzie stanowił. Może się to wydawać kwestią wyłącznie gramatyczną, w rzeczywistości ma jednak dalekosiężne znaczenie prawne.

Ta część klauzuli religijnej, która mówi o „nieustanawianiu”, stoi bez reszty w służbie wolności wyznawania religii. Wolność wyznania jest celem; „nieustanawianie” jest koniecznym środkiem do tego celu. Wzięte samodzielnie nie ma ono żadnego sensu. Dlaczego jednak potrzebujemy takiej klauzuli? Chodzi o obronę praw tych, którzy nie zgadzaliby się z ustanowioną religią. Innymi słowy, nieustanawianie oficjalnej religii jest koniecznym warunkiem wolności wyznania. Można sądzić, że Jeffersonowi nie chodziło tylko o grę słów, gdy swą ustawę z 1779 roku nazwał „Ustawą o u s t a n o w i e n i u wolności religijnej”. Celem nieustanawiania oficjalnej religii jest ustanowienie wolności religijnej. Wynika stąd, że wszelka interpretacja klauzuli religijnej stająca na drodze wolności wyznania jest jej fałszywą interpretacją.

W najnowszej historii, zwłaszcza w ciągu ostatnich czterech dekad, prymat wolności wyznania został w niebezpieczny sposób zatarty. Można nawet powiedzieć więcej: dwie części klauzuli religijnej zostały odwrócone. Wypowiedzi niektórych konstytucjonalistów i – coraz częściej – decyzje sądów sprawiają wrażenie, że „nieustanawianie” jest celem, dla którego wolność wyznania stanowi tylko kłopot. By przytoczyć tylko jeden znaczący przykład: w swym znanym podręczniku Laurence Tribe z Harvardu pisze, że „istnieje przestrzeń, którą klauzula o wolności wyznania wydziela z klauzuli religijnej dla dozwolo-

nej akomodacji interesów religijnych. Tę wydzieloną przestrzeń można scharakteryzować jako przestrzeń dozwolonej akomodacji”.

Mamy tu przykład zwięzłego i wyraźnego odwrócenia. Prof. Tribe dopuszcza – jak się wydaje, niechętnie – że w ramach starannie wyznaczonych ograniczeń *ś r o d e k*, jakim jest „nieustanawianie”, może dopuścić realizację *c e l u*, jakim jest wolność wyznania. Jest to zadziwiające tym bardziej, że coraz częściej nie dziwi innych, jako że prof. Tribe nie jest sam. Naukowcy i sędziowie w czasie tych kilku dekad przyzwyczaili się do stawiania klauzuli religijnej na głowie.

Jeśli zapomnimy, że „nieustanawianie” jest środkiem do wolności wyznania, to łatwo dojdziemy do przekonania o rzekomym konflikcie między tymi dwoma częściami klauzuli religijnej. Stąd niedaleko już do twierdzenia, że te dwie części „są wzajemnie przeciwstawne” i muszą zostać w jakiś sposób „zrównoważone”. Stąd zaś prosta droga wiedzie do idei, że „nieustanawianie” chroni „wolność świecką”, natomiast gwarancja wolności wyznania chroni „wolność religijną”. Jeśli klauzula religijna jest interpretowana zgodnie z tą dziwną inwersją, to trudno się dziwić, że przegraną okazuje się wolność religijna. Każde wkroczenie religii w sferę publiczną uznawane jest za naruszenie „świeckiej wolności” ludzi niewierzących. W ten sposób „nieustanawianie” rządzi wolnością wyznania, której pierwotnie miało służyć.

Nie musimy spekulować na temat praktycznych konsekwencji tej dziwnej inwersji w klauzuli religijnej. Widzimy je wokół nas. W imię „nieustanawiania” religia musi ustępować wszędzie tam, gdzie wkracza rząd. Rząd zaś w sposób nieugięty rozszerza swe panowanie na cały porządek społeczny. Twierdzi się, że w edukacji, działalności społecznej i w innych wymiarach życia publicznego z racji „nieustanawiania” religii Amerykanie powinni odstąpić od wolnego wyznawania religii. Na przykład ci, którzy obstają przy wolności wyznania w edukacji, muszą zrezygnować z pomocy rządu, dostępnej jednak tym, którzy nie domagają się tej wolności. W ten sposób wolność religijna jest karana w imię Pierwszej poprawki, której celem była jej obrona. Konstytucyjnie uprzywilejowany status religii zamieniono na przeszkodę prawną...

Mówi się, że twierdzenie, iż polityka publiczna nie powinna dyskryminować tych obywateli, którzy są religijni, jest przypadkiem specjalnego roszczenia tych, którzy posiadają interesy religijne. Wydaje się to bardzo dziwne w społeczeństwie, w którym ponad dziewięćdziesiąt procent obywateli przyznaje się do religii. Jest nie tylko dziwne, ale wręcz groteskowe, że przyzwyczailiśmy się do doktryny głoszącej, iż polityka publiczna nie powinna sprzyjać religii. Powiedzenie, że rząd nie powinien być przychylny religii, równa się powiedzeniu, że rząd nie powinien być przychylny ludzkim poglądom. Ponownie argument na rzecz całkowitej separacji religii i życia publicznego jest argumentem przeciwko rządowi demokratycznemu.

Obrona wolności wyznania jest obroną zachowania tego, co Lincoln nazwał w Gettysburgu narodem „tak poczętym i tak powołanym”. Jest to obrona

nadziei, „że ten naród, z pomocą Bożą, na nowo narodzi się w wolności i że rząd sprawowany dla ludzi i przez ludzi nie zniknie z oblicza ziemi”. Pomimo przewrotnego prawodawstwa ostatnich dekad większość Amerykanów nadal powtarza za Ojcami Założycielami: „Uznajemy te prawdy”. I wraz z nimi uznaje, że prawdy te, chociaż można je w różny sposób uzasadniać filozoficznie, są także prawdami religijnymi zarówno jeśli chodzi o ich odkrycie, jak i trwałą moc. Jeśli usuniemy fundament tych prawd, to usuniemy najgłębszą moc wiążącą naród amerykański z porządkiem konstytucyjnym. Bez tych prawd prawa człowieka nie są prawami naturalnymi, przyrodzonymi i – jak mówi Deklaracja – „prawami nadanymi przez Stwórcę”, lecz zwykłymi „konstruktami społecznymi”. Jak to zaś z całą brutalną otwartością pokazali postmoderniści, to, co zostało skonstruowane, może też zostać poddane dekonstrukcji.

W ciągu ostatniego półwiecza Ameryka znacznie oddaliła się od konstytucyjnej dla niej wizji „*novus ordo seclorum*”. Wolność wyznawania religii jest niezastępowalnym fundamentem tego porządku, tak samo jak jest źródłem „niezbywalnych praw”, które powinniśmy szanować. W swym słynnym *Memorial and Remonstrance* James Madison napisał: „Obowiązkiem każdego człowieka jest oddanie takiej i tylko takiej chwały Stwórcy, o jakiej sądzi, że jest Mu ona należna. Obowiązek ten poprzedza zarówno w porządku czasu, jak i stopnia zobowiązania roszczenia społeczeństwa cywilnego”.

Wielkim problemem jest dzisiaj nie zagrożenie życia publicznego przez religię, lecz zagrożenie, które uważający się za wcielenie życia publicznego rząd stanowi dla religii. Cały porządek wolności, włączając w to wszystkie inne wolności wymienione w Karcie Praw, jest oparty na tym, co Madison nazywa pierwszym obowiązkiem, którym jest religia. Jeśli Amerykanie nie będą publicznie wyrażać swych zobowiązań w stosunku do Stwórcy, to należy się obawiać, że przestaną również uznawać zobowiązania w stosunku do siebie i do konstytucji, w której zapisane są obowiązki wolności. Naturalne prawo do wolnego wyznawania religii nie oznacza wyłącznie „dostępu” do sfery publicznej. Wolne wyznawanie religii jest związane z przetrwaniem eksperymentu, w którym rząd nie ma jurysdykcji nad wyrażaniem wyższych lojalności, od których on sam zależy.

Debaty nad niuansami Pierwszej poprawki będą trwały. Nie możemy jednak zapominać, że ich prawdziwym przedmiotem jest wizja konstytucyjnego porządku, który – jeśli tylko będziemy wystarczająco przenikliwi i wytrwali – może nadal być „*novus ordo seclorum*”. To, czy tak będzie, zależy od naszej refleksji nad prawami człowieka i „prawami natury i Stwórcy natury”.

Tłum. z jęz. angielskiego *Jarosław Merecki SDS*